Rok VI. Kraków-Podgórze, Środa 18 Listopada 1908 Nr. 266

3 Cena Numeru centy w Krakowie, Podgórzu i na prowincyi.

PRENUMERATA

miesięczna w Krakowie [illegible] (lub z dostawą do domu); na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Kor. 50 hal. — Prenumerata za granicą [illegible]

POJEDYNCZE EGZEMPLARZE NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH AGENCYACH PISM I NA WSZYSTKICH DWORCACH KOLEJOWYCH.

NOWINY

Dziennik niezawisły demokratyczny illustrowany.

OGŁOSZENIA

za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu, (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 3 Kor. — Załączniki 20 Kor. za tysiąc.

Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. M. Hupczye.

Administracya „NOWIN": Rynek gł. L. 8, otwarta od 9—1 w południe i od 3—5 popołudniu.

Na Lwów Skład i Ekspedycya: Agencya Sokołowskiego, Pasaż Hausmana L. 2.

Redakcya i Administracya „Nowin": Kraków, Rynek gł. L. 8, Tel. 627. Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12 w południe. — Ekspedycya „Nowin" w drukarni Rynek gł. L. 8.

REDAKTOR NACZELNY: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje Redakcya (Tel. 627) od godziny 9 rano do godziny 7 wieczorem w biurze Rynek gł. L. 8, I. p. Rękopisów nie zwraca się.

„NOWINY" wychodzą codziennie wieczorem o godzinie 5-tej. — Cena numeru 3 centy w Krakowie i na prowincyi.

Pogotowie wojenne Serbii i stanowisko Austryi.

Wiedeń. Dzienniki donoszą, że zarządzenia projektowane przez Austryę odnoszą się do zabezpieczenia granicy czarnogórskiej przeciwko wkroczeniu band serbskich.

Dalej donoszą, że rząd austro-węgierski wyśle jedną notę do mocarstw, w której zwróci uwagę na ciągłe prowokacye Serbów, a drugą z zastrzeżeniem do samej Serbii.

Wiedeń. „N. fr. Presse" pisze: Ciągłe zbrojenia się Serbii i Czarnogóry, wśród hałaśliwych manifestacyj dawały już kilkakrotnie powód do pogłosek o wojskowych zarządzeniach monarchii. Już w samych tych pogłoskach przebijało się zdziwienie z powodu wielkiej cierpliwości, z jaką austro-węgierska monarchia przypatruje się, co prawda bacznie i uważnie, zbrojeniom serbskim. Publiczność może z całą pewnością liczyć na to, że zarówno wojskowe i dyplomatyczne osobistości, które ponoszą w tym względzie odpowiedzialność, w całej pełni obowiązek swój spełniają i każdy ruch w małem państwie sąsiedniem nader starannie badają i obserwują. Austro-węgierska monarchia, dopóki będzie mogła, pozostanie przy czysto defenzywnej polityce, nie dając się bałamucić krzykami, groźbami i przygotowaniami, które są jej dokładnie znane. Naturalnie monarchia nie zaniedba niczego na wypadek, gdyby Serbia naruszyła obowiązki sąsiedzkie, ale i wtedy nawet jej zarządzenia pozostaną w ramach defenzywnej polityki. Gdyby nastąpiły okoliczności, których dziś jeszcze niema i gdyby te zarządzenia stały się koniecznemi, to publiczność nie będzie miała powodu do zaniepokojenia, właśnie dlatego, że Austro-Węgry nie porzucą defenzywnego stanowiska bez przymusu.

Przygotowania wojenne Serbii.

Belgrad. Serbskie ministerstwo wojny zamówiło we Francyi 20.000 mundurów wojskowych i 100.000 namiotów.

Legion uniwersytecki.

Belgrad. Studenci tutejszego uniwersytetu strajkują, żądając utworzenia uzbrojonego legionu uniwersyteckiego. Minister wojny odpowiedział deputacyi studentów, że zgodzi się na taką legię, jeżeli zgłosi się najmniej 300 ochotników.

Dalsze telegramy na str. 3.

Uroczystości jubileuszowe w Rzymie.

Rzym, 17 listopada.

Wczoraj przed południem odbyła się w kościele św. Piotra uroczystość jubileuszu Ojca św. Kościół był wspaniale udekorowany i przepełniony pobożnymi. W uroczystości wzięli udział zastępcy obcych monarchów i naczelników państw, członkowie ciała dyplomatycznego, rodzina Papieża i wielu dygnitarzy duchownych.

O godzinie 9 Ojciec św. udał się ze swoich apartamentów do kościoła. Na czele szli wszyscy bawiący w Rzymie kardynałowie, dalej wielu arcybiskupów i biskupów, prałatów i innych dygnitarzy kościelnych. Wzdłuż całej drogi gwardya papieska oddawała Ojcu św. honory wojskowe. Ojciec św. udzielił wszystkim obecnym błogosławieństwa. Widok pochodu był wspaniały. Podczas wejścia Papieża do bazyliki odezwały się trąby, a obecni powiewali chustkami wzdłuż całej drogi aż do głównego ołtarza. Gdy Ojciec św. stanął przed wielkim ołtarzem, chór pod kierownictwem ks. Perosiego zaintonował: „Tu es Petrus". Następnie Papież przywdział szaty mszalne i zbliżywszy się do ołtarza, celebrował w asystencyi dyakonów, kardynałów i innych prałatów nabożeństwo, podczas którego chór z kapelą sykstyńską wykonał pieśni kościelne. Po zakończeniu Mszy św. Ojciec św. znowu przywdział szaty pontyfikalne i udzielił wszystkim uroczystego błogosławieństwa. Uroczystość zakończyła się o godzinie pół do 1-ej w południe.

Podczas uroczystości byli obecni na trybunie, urządzonej dla członków domów panujących: ks. Matylda saska, wielki książę Aleksander Michajłowicz, wielka księżna Ksenia Aleksandrowiczowa, siostra cara z trojgiem dzieci. Płaszcz, w którym Papież wystąpił, jest darem kobiet hiszpańskich, mitra zaś darem cesarza Wilhelma dla Leona XIII. Na nabożeństwie było obecnych 28 kardynałów, wielu arcybiskupów i 280 biskupów.

Liczbę obecnych w bazylice obliczają na [illegible]6 tysięcy. Natłok do bazyliki od onegdaj rana jest ogromny. Wiele domów było udekorowanych. Nad główną bramą Watykanu powiewa chorągiew o barwach papieskich. Cała uroczystość miała przebieg imponujący.

Rzym. Uroczystości jubileuszowe papieskie zakończyła wspaniała iluminacya światłem elektrycznem i bengalskiem fasady bazyliki, kopuły i budynków klasztornych. Wspaniały widok przedstawiał plac św. Piotra przy oświetlonej ogniem bengalskim kolumnadzie. Mimo deszczu przybyły wielkie tłumy ludności.

Chłop polski w lesie dziewiczym.

Ks. Józef Anusz opisuje w następujący sposób w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym" wrażenia swoje z Parany. (Jest to najlepiej do osadnictwa nadające się brazylijskie terytoryum).

„Gdy wyjdę na balkon domu — w dzień jak tylko okiem sięgnąć można, widać dymy, a w nocy hen, hen daleko na horyzoncie czerwienią się łuny — to polscy koloniści palą lasy i „rosy", przygotowując ziemię pod uprawę. Wszędzie widać życie, wszędzie znać rękę człowieka. I las na całych milach wyłysiał i step stracił dawną swą dziewiczość. Gdzie przedtem niebotyczne piniery i barczyste imbuje, teraz stoją chaty i buja żyto, kukurydza. Na stepach pasą się konie i bydło. A wszystko to stało się tak niedawno, tak raptownie! Jeszcze piętnaście lat temu na całej przestrzeni mej parafii (parafia Araucaria ma 72 kilometry wzdłuż i 27 wszerz) nie było ani jednego polskiego kolonisty, tylko tu i ówdzie, w puszczy siedział „kabokio", a jedynemi drogami komunikacyjnemi były ścieżki. Polacy, wychodźcy z Galicyi, osadzeni byli przed trzydziestu laty na kolonii Thomas Celho w liczbie sześciuset rodzin i to byli jedyni i najbliżsi sąsiedzi Araukarii.

Biedny polski przychodźca z pod Gorlic i Jasła, dawny parobek i wyrobnik, gdy się dostał do Parany, gdy mu odmierzyli czteroalkrowy szmat ziemi (alkier zawiera 24 200 metrów kwadratowych), porosły prawie dziewiczym lasem, zadrżał na jego widok z radości i strachu. Cieszył się, że on, niedawny nędzarz, jest teraz właścicielem i czuł dreszcz strachu na widok tysiącletnich olbrzymów puszczy. — Jak się do nich zabrać, jak je powalić! Wszystkie one stoją butnie, posplatawszy się konarami, a gibkie ljany, jak potężne liny, wiążą po kilka drzew w jedną zieloną masę. Ale trzeba się było wziąć do pracy, by coś zasadzić, by mieć, bo rok przeleci i rząd przestanie dawać zapomogi.

Chłop przeżegnał się, podrapał w głowę, znowu przeżegnał, splunął w garść, stęknął i uderzył. Siekiera wbiła się w pień, ale olbrzym ani drgnął. — Chłop rąbał i rąbał, pot lał mu się z czoła, aż nakoniec wieloletni olbrzym zachwiał się, zatrzeszczał i pochyliwszy wsparł na sąsiadach. — Jak go pozbawić opory, jak powalić na ziemię? Biedny kolonista i drapał się na niego, by mu podciąć gałęzie i obrąbywał ljany i ciął podszycie, aż po wielu trudach zwalił olbrzyma. Westchnął z ulgi i... troski, że trzeba się brać do drugiego. I tak ciął i ciął, rąbał i rąbał tygodnie całe, a później palił i pomiędzy opalonemi kłodami drzew sadził, a gdy chleb rósł, ciął dalej, stawiał chatę, grodził płot. Zboże wyrosło i dało plon, plon obfity. Na rok następny zrąbał i zasadził więcej. Przybywało mu czystego pola, przybywało chudoby, pieniędzy, pewności siebie i gdy przeszło z górą lat dziesiątek, dawnemu parobkowi i wyrobnikowi wydawało się mało cztery alkry ziemi. Zapragnął mieć więcej. Wszak tuż za kolonią ciągną się nieprzejrzane obszary stepów i lasów. Ale jak tu się ruszyć z pośród swoich, jak iść pomiędzy Brazylian?

Znalazł się śmiałek i ruszył, za nim poszli inni i obecnie w przeciągu lat piętnastu, trzy czwarte ziemi w parafii Araucaria z wolnej ręki wykupili Polacy, a teraz przechodzą w sąsiednie municypium Lapa i jak lawa suną naprzód. Już nie boją się lasów. Owszem rwą się do nich, bo widzą, że im gdzie tęższy las, tam ziemia lepsza. Do rąbania zabierają się z całą swobodą. Wiedzą, od którego drzewa zacząć, by się nie zatrzymało o inne, który pień podciąć, by porwał ljany i padł na ziemię.

Lubię patrzyć na wychowanych lub tu w Paranie wyrosłych kolonistów! Gdy sobie przypominam dawnych mych parafian z Zamojskiego i Biłgorajskiego, gdy ich porównywam z Araucaryjskimi, jakaż wielka różnica! Tamten, to zgnębiony, zbity, obawiający się wszystkiego niewolnik, a ten — pewny siebie pracownik, znający swą moc i wartość osadnik. Małomówny, stateczny, bezpański, o charakterze tak silnym, jak kanele lasów parańskich, a tak szerokim jak przestrzenie naszych stepów. Nawet w kościele modlą się inaczej, niż europejscy rodacy.

I harde to dusze siedzą w nowem pokoleniu! Wychowane na swobodzie, przyzwyczajone do walki i zwycięstwa z lasem nie uznają żadnej władzy i wszystko chcą brać siłą.

W niedziele i święta wraz z nauczycielem prowadziłem pogadanki i szkołę. Wyrostki i dorośli zjeżdżali się i schodzili chętnie!, przyznać muszę, że uczyli się doskonale.

Pewnego razu przychodzi do mnie ojciec jednego z młodzieńców i powiada:

— A jednak tu, proszę księdza, źle w Paranie.

— Dlaczego?! Dorobiliście się, macie dużo ziemi, bydła, pieniędzy...

— Tak, ale źle, bo tu takiego posłuchu jak w Polsce niema.

— Cóż takiego się stało?

— A ot, chociażby i mój Jasiek. Chodzi do szkoły, ksiądz go uczy, a jakem go się zapytał, czy z raz dostał od jegomości za uszy, to mi powiedział: ksiądz tu nikogo nie bije, ale niechnoby ino spróbował uderzyć, toby mię już więcej w szkole nie zobaczył.

Krnąbrne i ambitne Jaśki wyrastają u nas w Paranie! Nie lubią żartować, ani się cofać od raz powziętego zamiaru. Gdy sobie upatrzy jaką Maryś, przyjdzie pokłonić się ojcom, a w razie odmowy bryzgnie: — Jak mi jej nie dacie, to ją sam wezmę. — A i Maryś też potrafi odpowiedzieć: — Jak mi nie pozwolicie iść za Jaśka, to na wiarę z nim siedzieć będę.

Starzy westchną na brak polskiego posłuchu w Paranie i czynią wolę młodych.

Takie to nowe pokolenie z nowych osadników wyrasta. Odebrało ono moc i dumę lasom, rozmach stepom i w siebie je wtchnęło. Już im nawet krzywdą się wydaje iść ławą i zajmować nowe ziemie. Co dla nich dziesięć, piętnaście lub nawet sto alkrów. Im się już marzy, by iść daleko, daleko na zachód i zajmować kilometrowe obszary. I chciałoby się stanąć na czele takich

---

Nowy
Żyd wieczny tułacz

436 *według Eugeniusza Sue,*
opracował Walery Tomicki.

Ciąg dalszy.

— Tysiączne dzięki, moja kochana ciotko — rzekła Adryanna, biorąc papier z najzimniejszą obojętnością — ta ostrożność, te dowody były zbyteczne; wiesz pani, że jej słowu zawsze wierzę... gdy idzie o jej dla mnie życzliwość.

Jakkolwiek nieświadomy wyrafinowanych zdrad, ubarwionych okrucieństw cywilizacyi, Dżalma, obdarzony delikatnym taktem, jak wszyscy ludzie trochę dzicy, zdolni do mocnych wrażeń, uczuł jakąś moralną odrazę, słysząc oświadczenia tak fałszywej grzeczności; nie odgadywał ukrytego ich znaczenia; lecz, iż tak powiem, źle one brzmiały w jego uszach; potem, czy to przez instynkt, czy też przez przeczucie, doznał jakiegoś wstrętu względem księżny Saint-Dizier.

W rzeczy samej, dewotka, myśląc o własnym wypadku, który spowodować zamierzała, ledwo wstrzymać mogła ujawnienie wewnętrznego wzburzenia, które już zdradzał coraz większy rumieniec na jej twarzy, szyderski uśmiech i złośliwy blask jej oczu, dlatego na widok tej kobiety Dżalma, nie mogąc przezwyciężyć coraz większego ku niej wstrętu, pozostał milczący, uważny i nawet piękne rysy jego twarzy straciły pogodę, z jaką był wszedł do sali.

Na Garbuscę widok księżnej Saint-Dizier i cała dotychczasowa z nią rozmowa również przykre sprawiały wrażenie; spoglądała ona kolejno, już to z obawą na księżnę, już z błaganiem na Adryannę, aby zaprzestała rozmowy, której przewidywała zgubne skutki.

Lecz, na nieszczęście, księżnie Saint-Dizier nadto wiele zależało na tem, ażeby, ile możności, przedłużyć tę wizytę, a panna de Cardoville, czerpiąc nową, zuchwałą ufność w obecności mężczyzny, którego ubóstwiała, chciała do ostatniego nacieszyć się okrutną wściekłością dewotki na widok tych dwojga ludzi szczęśliwej miłości, pomimo tylu knutych niegodziwych przez nią i jej wspólników intryg i spisków.

Po chwili milczenia, księżna Saint-Dizier zabrała głos i mówiła tonem słodziuchnym, przymilającym:

— Mój Boże, nie uwierzyłbyś, książę, jak się ucieszyłam, dowiedziawszy się z pogłosek publicznych (gdyż o tem tylko wszyscy mówią i słusznie) o jego szanowanych uczuciach dla mej siostrzenicy, bo nie wiesz może o tem, książę, że mnie przez to uwalniasz od wielkiego kłopotu.

Dżalma nic nie odpowiedział, ale spojrzał na pannę de Cardoville z miną zadziwioną i niemal zasmuconą, jak gdyby chciał zapytać ją, co znaczą te słowa jej ciotki.

Księżna, spostrzegłszy to nieme księcia zapytanie, odpowiedziała:

— Jaśniej to księciu wytłómaczę: słowem, pojmujesz książę, że, będąc najbliższą krewną tej kochanej waryateczki... — i wskazała wzrokiem na Adryannę — byłam mniej więcej odpowiedzialną w oczach wszystkich za jej przyszłość, aż tu właśnie książę w samą porę przybywasz z drugiego końca świata, aby szczerze zająć się tą przyszłością, która mię tak przestraszała... to ślicznie, to przedziwnie i prawdziwie sama siebie pytać muszę, co bardziej podziwiać należy w księciu, czy jego szczerość, czy jego odwagę.

I księżna, rzuciwszy szatańsko-złośliwy wzrok na Adryannę, czekała na jej odpowiedź z miną wyzywającą.

— Słuchaj dobrze, kochany kuzynie, mej dobrej ciotki — odezwała się z pośpiechem młoda dziewica, spokojnie się uśmiechając — od chwili, odkąd ta życzliwa krewna widzi nas, ciebie i mnie, razem szczęśliwych, dusza jej jest tak przepełniona radością, iż niepodobna jej nie objawić innym, a nie zdołasz wystawić sobie, książę, co to są wynurzenia tak pięknej duszy. Proszę tylko być na chwilę cierpliwym... a sam osądzisz. — Potem dodała Adryanna tonem bardzo naturalnym: — Nie wiem dlaczego, z powodu tego wylania się mej kochanej ciotki, bo to ma mały związek, przypominam sobie, co mówiłeś, mój kuzynie, o pewnych gatunkach żmij w swoim kraju, które, częstokroć bezskutecznie kąsając, wyłamują sobie zęby, a sączącą truciznę same połykają tak, iż same padają ofiarą trucizny, którą w innych chciały wysączyć... Może więc kochana ciocia, co ma tak dobre, tak szlachetne serce... zechce żałować tych biednych żmij...

(Dalszy ciąg nastąpi).

zuchów kolonistów i zająć puszcze i stepy parańskie, dać im kulturę i swojskość. Ale, gdy się rzuci okiem na obszary naszej nowej siedziby i na małą garść towarzyszy, ból ściska serce.

Pani Taft.

Bardzo sympatyczną sylwetkę małżonki świeżo obranego prezydenta Stanów Zjednoczonych kreśli korespondent waszyngtoński dziennika londyńskiego „Daily Mail".

— Czy życzy sobie pani, aby małżonek jej był prezydentem Stanów Zjednoczonych? — spytał niedawno panią Taft jeden z dziennikarzy amerykańskich.

— Tak — odpowiedziała stanowczo.

— A kto, jeżeli wolno zapytać, zaproponował mu pierwszy ubieganie się o to stanowisko?

— Ja.

— Pani? A dawno temu?

— Gdy miałam lat 16.

Słowa te obejdą się bez komentarzy.

Całą ambicyę swoją przelała pani Taft na małżonka, którego towarzyszką w świetnej karyerze politycznej jest już od lat 24-ch, wyszła bowiem za niego wówczas jeszcze, gdy Taft był młodym adwokatem, wywalczającym sobie praktykę sądową.

Nowa gospodyni Domu Białego jest kobietą dość postawną, ale spokojną, dobroduszną, życzliwą i prawdziwie gościnną. Prócz tego jedyną wśród pań, których mężowie piastują wysokie stanowiska w Waszyngtonie, obchodzącą się bez sekretarki przy spełnianiu obowiązków i trudów, wypływających z konieczności obcowania ze światem politycznym i dyplomatycznym. Wszystkie plany i zarządzenia swoje wykonywa sama, prowadząc bardzo rozległą korespondencyę i biorąc udział gorliwy we wszelkich sprawach społecznych oraz towarzyskich.

Pod względem mody nie odznacza się twórczością, ale umie ubrać się gustownie, nie zwracając przytem uwagi na siebie.

— Lubi pani suknie skromne? — spytano ją pewnego razu.

— Dlaczego nie? — odparła. — Sądzę jednak, że każdą suknię można przybrać ładnie.

— A ile, zdaniem pani, potrzebuje kobieta, aby ubrać się przyzwoicie?

— Tyle, ile zarobić może — odpowiedziała pani Taft szybko.

W długim szeregu żon prezydentów, dzierżących berło królestwa domowego w Domu Białym, pani Taft jest tą, która najwięcej podróżowała.

Podczas podróży poślubnej zwiedziła Europę zachodnią. Jeździła też tam kilkakrotnie i potem. Następnie spędziła kilka lat z małżonkiem na wyspach Filipińskich oraz odbyła kilka podróży dłuższych po Chinach, Japonii i innych krajach Azyi wschodniej. Gdy bawiła w Japonii, przyjęli ją na posłuchaniu cesarstwo japońscy, w Pekinie zaś chińska cesarzowa-wdowa uważała ją za gościa swojego.

Po francusku mówi pani Taft tak biegle, że ambasador francuski w Waszyngtonie, Jusserand, zawołał do niej podczas rozmowy:

— Doprawdy, rozmawiając z panią, czuję się we Francyi!

Włada też płynnie językiem hiszpańskim, a dla zachowania wprawy w językach powyższych otrzymuje w domu dwie bony: francuskę i hiszpankę. Stara się przytem usilnie, aby i dzieci jej nauczyły się mówić tymi językami.

Przedewszystkiem jednak małżonka „grubego Billa" jest muzykalna. Przed wyjściem za mąż ukończyła instytut muzyczny w Cincinnati, a nawet zajmowała tam w ciągu roku stanowisko nauczycielki gry fortepianowej. Muzykę miłuje tak bardzo, że żaden koncert przekłada ponad wszelkie inne rozrywki. Zamiłowanie to dzieli z nią pani Roosevelt, z którą regularnie uczęszcza na wszystkie koncerty symfoniczne w Waszyngtonie.

B.

Z Rady miejskiej.

Po poufnych obradach rozpoczęło się wczoraj o godz. 7 mej posiedzenie przy drzwiach otwartych, przy silnie zapełnionej galeryi, bo spodziewano się dyskusyi nad ruderami koło św. Idziego. Posiedzenie zagaił prezydent dr. Leo i przedstawił następujące wnioski, dotyczące jubileuszu papieża i cesarza: (*Radcy powstają*, Daszyński ostentacyjnie wychodzi z sali).

Jubileusz papieża.

Rada miasta weźmie in corpore udział w nabożeństwie na Wawelu 22 b. m.; weźmie udział w akademii, którą urządza w niedzielę osobny komitet w sali starego teatru; wyśle telegraficznie adres hołdowniczy do papieża.

Jubileusz cesarza.

Dla uczczenia 60-tej rocznicy rządów cesarza Franciszka Józefa przeznacza się rocznie 10.000 koron na cele opieki nad młodzieżą, w szczególności też nad młodzieżą rękodzielniczą. Wykonanie tej uchwały porucza się komisyi jubileuszowej. Uchwala się urządzić uroczystą iluminacyę gmachów kosztem miasta i wydać odezwę do mieszkańców Krakowa, wzywającą do oświetlenia swych domów w dniu 1 grudnia, w którym także w południe odbędzie się uroczyste posiedzenie Rady miejskiej.

Oba wnioski jednogłośnie uchwalono.

Subwencye dla Krakowa. Ustawa budowlana. Sprawy szynkarskie.

Z kolei prezydent podaje do wiadomości Rady, że Sejm przyznał 30.000 kor. subwencyi dla Muzeum narodowego, a 150.000 kor. dla instytucyi popierania drobnego przemysłu. (Oklaski). Ze względu na znaczenie obu uchwał dla Krakowa, mowca składa najgorętsze podziękowanie wydziałowi krajowemu i Sejmowi. (Oklaski)

Dalej zaznaczył prezydent, że Sejm uchwalił nowelę do ustawy o podatku od piwa, przedłużającą na rok 1910 obecnie obowiązującą ustawę o podatku od piwa dla miasta Krakowa. Od r. 1911 nastąpić musi nowe uregulowanie tej sprawy ze względu na ustawę krajową o opłatach szynkarskich i podatku od piwa po wygaśnięciu prawa propinacyi.

Sejm uchwalił także nowelę do ustawy budowlanej dla m. Krakowa, zezwalającą na budowę drugiego i trzeciego piętra domów do 18 metrów wysokości. Co do motywów noweli, rozpowszechniono fałszywe tendencye; autentycznie rzecz przedstawia się tak, że niejednokrotnie władze budownicze miasta Krakowa musiały wbrew ustawie pozwalać na budowę drugiego i trzeciego piętra ponad 15 metrów wysokości, co dotąd było obowiązującem a nie odpowiadało potrzebom miasta.

Wielki Kraków. Reforma wyborcza. Nowa ustawa budowlana. Podziękowanie.

Wreszcie omawia prezydent ogromne znaczenie uchwalonej przez Sejm ustawy o Wielkim Krakowie. Wszyscy wyczekiwali z upragnieniem chwili załatwienia tej ustawy, której wymagały najżywotniejsze interesy gospodarcze i kulturalne miasta. **Kiedy nastąpi faktyczna inkorporacya gmin wcielonych?** Prezydent wyraża niepłonną nadzieję, iż rząd zrozumie, że przewlekanie tej sprawy nie tylko nie leży w interesie ludności, ale interesom gmin mogłoby bardzo być szkodliwem. Mowca polega też na obietnicy namiestnika, że projekt w jak najkrótszym czasie prześle do ministeryum celem przedłożenia go do sankcyi monarszej, a zaraz potem przez namiestnika przedsięwzięte będą te postanowienia, które są potrzebne, aby istotna inkorporacya tych gmin do Krakowa nastąpiła.

Wtedy będzie rzeczą Rady m. Krakowa obmyśleć sposób upamiętnienia tego historycznego w dziejach m. Krakowa wydarzenia. Aby sprawa inkorporacyi mogła odbyć się bez przeszkód, prezydent oświadcza, iż wyda do wszystkich departamentów magistratu wezwania, **aby przygotowawcze prace zostały natychmiast podjęte**, abyśmy nie zostali zaskoczeni.

Po sankcyonowaniu ustawy będziemy także mieli do rozwiązania sprawę trudną, a to: rozszerzenie prawa wyborczego do gminy w tym duchu, aby **jak najszerszym warstwom ludności przyznać prawo należnej reprezentacyi w Radzie Wielkiego Krakowa.** (Żywe oklaski; słowa prezydenta wywołują silne wrażenie). Chociaż żadne z miast naszego kraju dotąd w tym kierunku nie poszło, sięgniemy po wzory z innych państw.

Nie cofniemy się przed problemem trudnym, który jednak rozwiązany być musi. Jeżeli dotąd w tej sprawie nie przedłożono konkretnych wniosków to dlatego, że reforma nie mogła się ograniczać do terytoryum małego Krakowa. — Prezydent zapowiada, że także obmyślenie nowej ustawy budowlanej dla W. Krakowa nastąpić winno niezwłocznie. — Wreszcie wyraża prezydent podziękowanie tym wszystkim, którzy zrozumieli doniosłość projektu W. Krakowa i współdziałali przy jego urzeczywistnieniu: a więc marszałkowi Badeniemu, b. członkowi Wydziału Wereszczyńskiemu, namiestnikowi Bobrzyńskiemu, referentowi sprawy w Sejmie prof. drowi A. Górskiemu, posłom z lewicy i ludowcom; wreszcie Radzie miasta Krakowa. (Żywe oklaski).

Przemówienie dra Turskiego.

Imieniem klubu mieszczańskiego, klubu demokratycznego i radców, nie należących do organizacyi, r. Turski zabrał głos, wykazując pokrótce znaczenie ekonomiczne idei W. Krakowa. — W ślad za ekonomicznym, podąży także rozwój socyalny. Demokratyzacya społeczeństwa postępuje silnie, weszła nam do krwi, do naszej reprezentacyi, do administracyi. Myśl polityczna szła z Krakowa na całą Polskę, radzibyśmy, aby ta demokratyzacya także tak postępowała. Ta demokratyzacya nie może się jednak ograniczyć na małe centrum, ona mieć musi szerszy obszar.

Mowca dziękuje prezydentowi, który myśl W. Krakowa przyjął do swego programu, za okazaną energię, pracę i wiedzę. — W Sejmie większość posłów zrazu była jeżeli nie nieprzychylnie, to sceptycznie usposobiona, ale wreszcie idea zatryumfowała.

Mowca podnosi nastrój Sejmu w dzień uchwalania ustawy. Nie było sporów, była chwila uroczysta, celą salę wypełnił majestat Krakowa. I jeżeli referat, Sejmowi przedstawiony, z pewną ironią podkreślał, że komisya nie wotuje ustawy w imię „wielkiego głosu Zygmunta", a tylko ze względów rzeczowych, to odpowiedzieć można, że głos Zygmunta wszedł przemocą do Sejmu.

Prezydent dziękuje r. Turskiemu i Radzie za słowa uznania i widzi w nich zachętę do dalszej pracy, która jest wielką i trudną. Chodzi o wcielenie żywych organizmów do żywego organizmu i o przygotowanie takich warunków, iżby ludność czuła się dobrze w złączonem środowisku. (Oklaski).

R. Daszyński gwałtownie żąda głosu do interpelacyi; r. ks. Krupiński żąda głosu w sprawie formalnej. Prezydent udziela głosu r. ks. Krupińskiemu (Daszyński wymachuje rękami i krzyczy: „naturalnie!"), który wnosi o zamknięcie posiedzenia wobec uroczystego nastroju, jaki przybrało obecne posiedzenie.

Wniosek ks. Krupińskiego uchwalono jednogłośnie. O godz. 8 mej wiecz. posiedzenie się skończyło.

Z SALI SĄDOWEJ.

Książe włamywaczy i jego szajka.

(Drugi dzień rozprawy).

Dzisiejsza rozprawa rozpoczęła się po godzinnem opóźnieniu, a to z powodu nieprzybycia dwóch przysięgłych, sędziego i zastępcy. — Miejsce chorego sędziego przysięgłego p. Schenzera, zajął zastępca p. Ungar i rozprawa zaczęła się od przesłuchania trzeciego oskarżonego Leiba Nadelstechera, obwinionego o kradzież kosztowności i gotówki na sumę 2.138 koron u Bohrera i o pomaganie Łacnemu i Daszyńskiemu przy włamaniu w Olesku.

Oskarżony sprawia nieprzyjemne wrażenie, jest to mały czarny żydek, patrzący z podełba na sędziów.

Zaprzecza on stanowczo swej winy, twierdzi, że on pośredniczył tylko przy zwrocie Bohrerowi skradzionych rzeczy. Na pytanie prokuratora, dlaczego Bohrer udał się do niego, a nie do żandarmeryi, aby wyszukał skradzione kosztowności, odpowiada Nadelstecher, że Bohrer miał do niego zaufanie, jak do przyjaciela.

Przew. W jaki sposób poznał się pan z Łacnym, czy powiedział mu pan, że pan wie, że to on skradł te rzeczy?

Osk. Tak.

Przew. Panie Łacny, co pan ma do powiedzenia?

Osk. Łacny. Żadnych rzeczy nie widziałem i Bohrera nie znam.

Łacny zaprzecza stanowczo mimo, że Nadelstecher mówi mu w oczy. Następnie na pytanie obrońcy Łacnego i prokuratora Nadelstecher wikła się w odpowiedziach.

Włamanie w Olesku.

Nadelstecher zrzuca całą winę na Łacnego zeznając uporczywie, że Łacny namawiał go do kradzieży, lecz on nie chciał o tem słuchać. Na drodze do Milutyna spotkał jadącego wozem Łacnego z jakimś „Rosyaninem", lecz czy to był Daszyński, nie może na pewno twierdzić. Łacny miał powiedzieć: „szkoda, żeś z nami nie był, byłbyś sobie zarobił kilkanaście koron". Nadelstecher wpada w sprzeczności z zeznaniami w śledztwie. Gdy Nadelstecher tłumaczy się, że nie wie, skąd w protokole tak napisane, zwraca mu uwagę przewodniczący: „Przecież te pańskie zeznania pisał sam pan sędzia Moszyński!"

Nadelstecher: Toteż to! pan sędzia powiedział, że mi da 10 lat.

Przewodniczący konfrontuje Łacnego z Nadelstecherem, przyczem Łacny zaprzecza stanowczo zeznaniom Nadelstechera. „On może wszystko mówić, ale kłamie" — twierdzi.

Po przesłuchaniu Nadelstechera wchodzi na salę Lepianka w towarzystwie 2 uzbrojonych dozorców. — Jest to prawdziwa „lepianka" człowieka. Twarz wynędzniała, żółta, oczy zwierzęce, dzikie, głęboko osadzone i zarost na głowie i twarzy podobny wyglądem do mchu, to wszystko robi nieprzyjemne wrażenie. — Jednem słowem typ wynędzniałego, dzikiego zbrodniarza. — Udaje niewinnego. On o niczem nie wie, nie słyszał o żadnych kradzieżach, a tem bardziej nie brał w nich udziału. Daszyńskiego nie zna, a Łacnego o tyle, że z nim miał czasem w sprawie sprzedaży koni interesa. Zaprzecza prawie wszystkiemu, co zeznał w śledztwie.

Następny przesłuchiwany Goldstein także nigdy nie widział Daszyńskiego, a Łacnego zna jako faktora.

Przew.: Czy pan zna Łacnego, jako porządnego człowieka?

Goldstein: Panie radco, o moralność nikogo nie pytam.

Na liczne uwagi przewodniczącego, iż co innego obecnie zeznaje, aniżeli w śledztwie, poczyna dużo i głośno gadać, nawet wykrzykiwać, wskutek czego zwraca mu radca Ferens uwagę, by się zachował odpowiednio i nie unosił. — Po tej uwadze opowiada już spokojnie Goldstein, iż Kaczan zeznaje dlatego przeciw niemu, bo ma złość ku niemu od czasu, jak raz przy transportowaniu koni wytrącił z należnej pensyi Kaczanowi parę zł. wskutek szkody, wynikłej z winy Kaczana.

„A jak Kaczan mógł słyszeć, że ja namawiałem się z Łacnym o kradzież, kiedy my stali z daleka od Kaczana i ja rozmawiałem z żydkami po żydowsku. Kaczan umie tylko po rusku, nawet po polsku nie rozumie, a rozumiał po żydowsku?" Łacny mówi do oczu Goldsteinowi, że wtedy rozmawiali o kradzieży, a chociaż bliżej od Kaczana stali żydkowie, którzy tę rozmowę słyszeli, nie wydali Goldsteina, bo są jego przyjaciółmi. — Na niektóre sprzeczności między zeznaniami w śledztwie a dzisiejszemi, odpowiada Goldstein, że to wina sędziego śledczego Moszyńskiego. „Żeby nie ten sędzia, jabym tu nie siedział na oskarżonych *ławki*".

Na tem zakończono przesłuchiwanie oskarżonych, następnie po 10-minutowej pauzie, przystąpiono do przesłuchania świadków, którymi formalnie nabita jest poczekalnia.

Zeznają świadkowie: Biłyk, Kuźmiński, Niemiec i jego żona, Henia Lang i Orlewicz. Jutro podamy szczegóły.

Co słychać w mieście?

Kalendarzyk na środę.

Teatr miejski: „Michasia i jej matka".
Teatr ludowy: Zamknięty.
Chromofotoskop ul. Floryańska 4, otwarty od 9 rano do 9 wieczór.

Zapytanie. Maluczko, a rok 1908 dobiegnie do końca. — Z tej okazyi nieśmiało pytamy, co słychać z pomnikiem Kościuszki? Podobno istnieje jakiś komitet dla tego pomnika, podobno odlew został dokonany... Kiedyż właściwie ta sprawa, która ciągnie się od lat wielu, budząc smutne reflexye na temat pomnikowych skandali, zostanie załatwiona? Może komitet udzieli nareszcie autentycznych informacyi?

Z teatru miejskiego. Satyryczna lekka komedya p. n.: „Mój dziecisk", porusza modną we współczesnej literaturze francuskiej kwestyę patronatu, udzielanego „młodym sławom... i przystojnym" przez kobiety leciwe, a których pozycya światowa otwiera przed protegowanymi wrota wszelkich zaszczytów. W na podobnym temacie roznosił — jak wiadomo — najnowszy swój utwór sławny Maurycy Donnay. P. Ambroży Janvier de la Motte, autor „Mojego dziecisaka", był do pewnego stopnia poprzednikiem Donnay'a i utwór jego już przed kilkoma laty zwrócił baczną uwagę krytyki francuskiej, zwłaszcza, że treść satyryczną umiał zużyć w tak ulubionej przez Paryż formie wesołej, pełnej humoru komedyi.

„Noc listopadowa". Kasa zamawiań biletów teatru miejskiego zawiadamia, że na pierwsze przedstawienie tragedyi wszystkie bilety są już wyczerpane. Od dnia wczorajszego zaczęła kasa sprzedawać bilety na 5 dalszych przedstawień „Nocy listopadowej".

Wieczór komedyi polskiej urządzony staraniem kl. VII b. gimn. św. Anny odbędzie się w sobotę dn. 21 b. m. w sali Klubu c. k. urzędników pocztowych (Lubicz 5).

Program oprócz części wokalno-muzycznej wypełnią wyjątki z trzech komedyi, mianowicie z „Fircyka w zalotach" Franc. Zabłockiego, z „Zemsty" Al. hr. Fredry, z „Pana Damazego" Kaz. Bliziúskiego. Bilety do nabycia przed wieczorkiem przy wejściu. Dochód przeznaczony na orkiestrę gimnazyalną. Początek o godz. wpół do 7-ej wieczór.

Najbliższe koncerty. W piątek dn. 20-go b. m. występuje znana pianistka p. Klara Czop-Umlaufowa z koncertem własnym poświęconym w całości utworom Chopina. W programie są rzadko wykonywane młodzieńcze utwory Chopina na fortepian z tow. orkiestry: Waryacye na temat z „Don Juana" i Krakowiak, nadto szereg utworów na sam fortepian. Sześć pieśni Chopina odśpiewa p. W. Hendrichówna, art. opery lwowskiej.

W następną niedzielę odbędzie się znowu koncert po cenach popularnych. Będzie to „wieczór muzyki polskiej", w którym do głosu przyjdzie kilku kompozytorów krakowskich z nowymi, nigdzie dotąd nie granymi utworami. P. B. Walewski przedstawi swoją nową „suitę liryczną" na małą orkiestrę, p. B. Rzczyński chłopską suitę na chór męski, dającą w szeregu pieśni obraz wesela wiejskiego, p. M. Świerzyński scenę baletową z mimodramu p. t. „Sen". Nadto wykonane będą utwory Sołtysa, Noskowskiego, Galla i Żeleńskiego. Chór akademicki i orkiestra 13 p. p. dzielą się wykonaniem koncertu.

Na oba powyższe koncerty i na występ wiolonczelisty Hekkinga można już nabywać bilety w składzie fortepianów B. Gabryelskiej i w kasie Starego Teatru w zwyczajnych godzinach.

Odczyt. Komitet miejski stronnictwa dem. narod. w Krakowie przypomina członkom stronnictwa, że we

środę d. 18 listopada b. r. o godz. pół do 8-ej wieczorem odbędzie się zebranie w lokalu własnym przy ul. św. Anny l. 2, p. II, na którem p. dr L. Kolankowski wygłosi referat na temat: „Kościół i cerkiew w Galicyi wschodniej“. Dla gości wprowadzonych wstęp wolny.

Centralny Związek Towarzystw realnościowych w Austryi w Wiedniu (Reichsverband) odbył w dniach 8 i 9 b. m. posiedzenie swych delegatów w sprawie reformy podatków domowych. Krakowskie Towarzystwo właścicieli realności reprezentował wiceprezes powyższego Związku dr K. Lipowski, wybrany zarazem do komisyi, która zastanawiała się nad pożądanemi zmianami rządowego projektu reformy podatków domowych.

Towarzystwo właścicieli realności w Krakowie zwoła z końcem b. m. nadzwyczajne zgromadzenie członków, na którem zdanem będzie sprawozdanie o uchwalonych przez związek centralny postulatach.

Postanowiono także zaprosić na zgromadzenie wybitniejsze osobistości z pośród mieszkańców miasta Krakowa.

W krak. Tow. miłośników cytry odbył się w sobotę ubiegłą wieczorek muzykalno-wokalny przy udziale publiczności. Na program złożyły się przeważnie produkcye ensemblu, złożonego z 10 cytr, który, między innymi, wykonał także dwa utwory z akomp. fortepianu. Następny punkt programu wypełniła doskonale wyćwiczona orkiestra tambur-mandolinowa. — Prócz tego bardzo poważny współudział w programie przypadł dobremu tercetowi, oraz duetowi na cytrach. Całość była opracowana starannie i wykonana pod kierunkiem dyrektora Tow., prof. T. Stacha. Publiczność częstymi oklaskami dawała wyraz swemu uznaniu dla wszystkich wykonawców.

Wyścigi konne w Krakowie. Na odbytem wczoraj pod przewodnictwem wiceprezesa Jana hr. Tarnowskiego posiedzeniu komisyj programowych Towarzystwa międzynarodowego oraz Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów, postanowiono między 20 a 27-mym czerwca przyszłego roku odbyć 5-cio dniowy meeting letni.

Warunki poszczególnych wyścigów będą później ogłoszone. Również uchwalono odbyć jak corocznie w połowie maja r. p. konkurs hippiczne oraz Bieg myśliwski z totalizatorem.

Stypendyum dla ucznia polskiego seminaryum nauczycielskiego T. S. L. w Białej ufundował p. poseł na Sejm krajowy Artur Zaremba Cielecki w kwocie rocznej 100 kor. Podnosząc ze szczerem uznaniem ten objaw obywatelskiej ofiarności, Zarząd główny T. S. L. wyraża nadzieję, że czyn ten patryotyczny znajdzie naśladowców.

Kalendarz kartkowy T. S. L. na r. 1909 znajduje się już w handlu. Jest to jedyne wydawnictwo tego rodzaju, wykonane wyłącznie siłami polskiemi. Kalendarz zawiera wszelkie najniezbędniejsze dane, m. i. kalendaryum starego stylu i święta żydowskie. Wykonanie nader staranne jest dziełem zakładów graficznych firmy F. K. Ziółkowski i Sp. w Pleszowie (Poznańskie). Cena egzemplarza 1 kor. Jedyny ten kalendarz blokowy swojskiego wyrobu powinien znaleźć szerokie pole zbytu i wyrugować całą powódź obcych wydawnictw tego rodzaju, napływających niemal całymi wagonami do kraju z Wiednia, Budapesztu, a nawet z Berlina. Zamówienia nadsyłać należy do Zarządu Głównego T. S. L. w Krakowie ul. Floryańska 15, do Kół T. S. L. oraz księgarń i handlów.

Drobny ogień. Wczoraj o godz. pół do 11-tej wieczorem zawezwano straż pożarną na plac Wszystkich Świętych, gdzie w domu pod l. 11 w mieszkaniu dra Banetha zapaliła się drewniana ścianka przytykająca do pieca. Na miejsce wyruszył IV. pluton straży, który w krótkim czasie po wyrąbaniu ścianki ogień ugasił. Szkoda wynosi około 100 kor.

Śmierć w pociągu. Andrzej Jamrozik robotnik z fabryki cementu w Trzebini, uległ przy pracy zmiażdżeniu nóg. Przewieziony przez lekarza do szpitala w Krakowie zmarł w pociągu przed przybyciem do Krakowa. Zawezwany lekarz Pogotowia stwierdził śmierć. Jamrozik wpadł podobno pod koła wagonu w Trzebini.

Repertuar teatru miejskiego:

Czwartek: „Związek nadpostępowy“ i „Przyjaciel bezinteresowny“.
Piątek: „Chrabąszcze“ i „Wampir“.
Sobota: „Mój dzieciak“, kom. w 3 akt. A. Jouvier de la Motte.
Niedziela: popoł. „20 dni kozy“ (ceny zniżone do połowy).
Niedziela: wiecz. „Mój dzieciak“.
Poniedziałek: „Związek nadpostępowy“ i „Przyjaciel bezinteresowny“.

Repertuar teatru ludowego:

Czwartek: „Kozioł ofiarny“ (nowość).
Piątek: „Krakowiacy i Górale“.

„Burzymurki“ i „ruderosnoby“.

Na porządku dziennym wczorajszego posiedzenia Rady m. znajdowała się sprawa ruder koło kościoła św. Idziego. Z tego powodu na galeryę sali radnej podążyło wczoraj około 20 przedstawicieli estetyki krakowskiej i stowarzyszeń artystycznych, które grupując jednych i tych samych ludzi, podniosły też wspólnie przeraźliwy alarm na wieść, że sekcya Rady miejskiej zgłosiła wniosek o zburzenie tychże ruder. Okropna ta wrzawa, podniesiona w obronie walących się przegniłych szop pod Wawelem, równać się może — pod względem intenzywnej przesady — chyba tylko z jękami, jakie (za sprawą kilku piór dziennikarskich) poszły po całej Polsce z okazyi wypadku z magnezyą pod kościołem OO. Franciszkanów. Uszkodzone zostały dwa mniejsze kwiatowe witraże Wyspiańskiego; był to bardzo przykry wypadek; na szczęście szkoda, polegająca na wybiciu kilkunastu szyb i rozluźnieniu ołowianej oprawy, da się bez trudu kosztem kilkuset koron naprawić. Do rekonstrukcyi nie potrzeba nawet wcale kartonów Wyspiańskiego; spojenia ołowiane, które ostały, okazują bowiem kształt uszkodzonych szyb, a zachowane ułamki szkła dają wskazówkę co do koloru. Naprawa cennych witraży będzie na szczęście rzeczą bardzo łatwą — i było prostym nonsensem biadać, „że Wielki Kraków został o jedno dzieło sztuki pomniejszony“. Niektórzy patentowani miłośnicy Krakowa muszą jednak korzystać z każdej sposobności, aby okryć się gloryą znawstwa i umiłowania sztuki...

Afera ruder przy kościółku św. Idziego dostarcza naszym estetyzującym Dołęgom i Niedołęgom nowego pola do popisu. Ale o ile w aferze z witrażami (którą perfidnie bałamucono ogół) chodziło o istotne dzieło sztuki, w aferze ruder chodzi tylko o — rudery, o budyneczki bez *żadnej wartości architektonicznej* i *pamiątkowej.* Skądże więc tyle hałasu o nic? Ano, powiadają obrońcy tych ruder, tu nie chodzi o te rudery, ale o to, aby kościółek św. Idziego nie stał sam i żeby Wawel lepiej się prezentował. Wymagają tego niby względy estetyczne, których kołtuny radzieckie, bezkulturne burzymurki oczywiście nie rozumieją!

I pójdą znowu rozpaczliwie dymy po całej polskiej prasie z powodu niekulturności rajców przyszłego W. Krakowa — a w tych dymach, jak w kadzidelnym obłoku, stąpać będzie w chwale rzesza wybranych ruderosnobów.

Może więc nie od rzeczy będzie przypomnieć tu pokrótce początek afery ruder?

Oto przed niespełna 10 laty Dominikanie zażądali od magistratu pozwolenia na wybudowanie II. piętra na zrujnowanych budyneczkach koło kościółka św. Idziego. Magistrat krak. sprzeciwił się temu ze względów estetycznych, boby widok na Wawel został zasłonięty, ale że nie miał prawnej możności przeszkodzenia budowie, oświadczył Dominikanom, że odkupi rudery. Do sprzedaży trzeba było aprobaty konsystorza. Konsystorz udzielił dominikańskim stawimurkom pozwolenia na sprzedaż ruder magistratowi, pod warunkiem, że rudery zostaną zburzone, gdyż konsystorz chce mieć gwarancyę, iż kościół nie otrzyma tam nigdy nieprzystojnego sąsiedztwa. Jakoż w tym duchu gmina zawarła kontrakt (zdaje się) w r. 1601 z Dominikanami — a ówcześni estetycy krakowscy cieszyli się, że po zburzeniu obrzydliwych ruder odsłoni się bardzo interesujący i malowniczy widok na Kurzą Stopkę i resztę Wawelu.

Ale minęło lat siedem — i rudery doczekały się szczęśliwie urzeczywistnienia idei Wielkiego Krakowa, zniszczenia witraży Wyspiańskiego przez nadwandala prezydenta Leo, doczekały się muzycznych fejletonów pana Szczęsnego w swym dowcipie Jasieńskiego, domu pana Czyniciela, konkursu na wystawę sklepową urządzonego przez Tow. upiększania Krakowa, kartelu towarzystw artystycznych i protestu mężów, w sztuce biegłych, przeciwko żądaniom pleban, aby pomnik Kościuszki stanął na Rynku (powinien zdaniem „znawców“ stanąć na placu Wolnica albo w innem ze względów estetycznych odpowiedniem miejscu, gdzieby znalazł należyte tło). W tak estetycznym czasie, w którym na wystawach „Sztuki“ prezentowano nam jako dzieła sztuki nalepianki z kolorowych papierków (bardzo byłyby na miejscu na dorocznych *Gschnasballach* wied. Künstlerhausu lub gdzieś w literackim kabarecie), w tak bardzo estetycznym czasie rudery pod Kurzą Stopką znalazły niezłomnych obrońców, którzy jak jeden mąż podnieśli krzyk rozpaczy, że stary Kraków znowu świętokradzko-kołtuńskiego dozna ciosu kilofa!

Ale co robić? Nie można przecie ostawić tych ruder, bo lada dzień zwalą się do reszty? Oczywiście, ale trzeba je restaurować, powiadają znawcy. Ale kontrakt nakłada na gminę obowiązek zburzenia, a gmina musi kontraktu dotrzymywać? Co tam kontrakt, odpowiadają estetycy. Dominikanie, gdy się ich poprosi, nie będą żądali dopełnienia kontraktu — i miasto może na miejscu ruder postawić ochronkę.

Niestety łatwiej to powiedzieć, niżli wykonać, bo owe rudery są dzisiaj kupą zgniłych cegieł, a chcąc je „restaurować“, trzebaby wznieść coś z gruntu nowego. I albo powstanie jakaś brzydka imitacya starego, stylowego gmachu, albo ujrzymy jakąś murowaną, parterową szopę, która do żadnego praktycznego celu służyć nie może. (Jeźli mamy ochronkę budować, wybudujmyż porządną i nie wyrzucajmy pieniędzy na marne).

Tak sprawa stoi dzisiaj.

I kto wie, jak się to wszystko skończy. Co się podobało estetykom z roku 1901 — mianowicie odsłonięcie widoku na Wawel — to nie znajduje aprobaty u estetów z roku 1908. I przyszłe posiedzenie Rady miejskiej będzie widownią wielkiego starcia duchów — a na galeryi 20 mężów prawych i biegłych w sztuce będzie miotało przekleństwa na głowy tych radców, którzy uwierzą estetom z roku pańskiego 1901... Wojna będzie straszna, bo esteci z r. 1908 są w najwyższem stopniu rozdrażnieni tem, że wczoraj nadarmo się fatygowali na galeryę i zamiast dyskusyi antiburzymurkowej musieli wysłuchać mowy pp. Lea i Turskiego o ekonomicznem znaczeniu urzeczywistnienia idei Wielkiego Krakowa.

Słusznie więc jeden z estetów, schodząc z gorącej galeryi, krzyknął z pogardą:

— Kabaret!

Pocieszcie się, panowie! Pomnijcie na słynny wiersz Gautiera:

Tout passe. L'art robuste
Seul a l'eternite!
Le buste
Survit a la cité.

Co znaczy, przetłomaczone dla użytku ruderosnobów:

Rajce — to kpy. Lecz artysm szczery
Zleci nam czub szyszaków!
Rudery
Przeżyją Wielki Kraków!

Bo powiedziano jest, że zdrowy sens nie zawsze ma walor.

Liks.

Telegramy „Nowin“.

Niebezpieczeństwo wojny?

Znowu widmo wojny zdaje się przybliżać — i na giełdzie wiedeńskiej panowała wczoraj **panika**. Pogłoski o możliwości wojny powstały stąd, że Austrya poczyniła szereg zarządzeń celem zabezpieczenia granicy od strony Serbii i Czarnogóry.

Półurzędowy „Fremdenblatt“ ogłasza taki uspakajający komunikat:

Wiedeń. Obiegające pogłoski o mobilizacyi w kilku korpusach armii i o innych wyjątkowych zarządzeniach wojskowych pozbawione są podstawy. Zarząd wojskowy widział się wyłącznie spowodowanym podwyższyć stan pokojowy 15. korpusu armii, który składa się z części wojsk rozmaitych okręgów uzupełniających, co równa się podwyższeniu stanu każdej kompanii o 36 ludzi; inne czternaście korpusów armii pozostały zupełnie niedotknięte tem zarządzeniem. Osiągnięte przez to nieznaczne podwyższenie stanu wojsk granicznych w Bośni i Hercegowinie zostało spowodowanem głównie przez to, że ludność graniczna uczuwa w wyższym stopniu potrzebę ochrony z powodu coraz silniejszej agitacyi w krajach granicznych południowo-wschodnich a zwłaszcza groźnem utworzeniem band.

Zarząd wojskowy uważał za swój obowiązek nieodzowny uwolnić ludność od wszelkiej troski i udzielić jej w sposób skuteczny żądanej ochrony. Do tego nie wystarczały jednakże słabe wojska, jakimi jest obsadzoną granica. Aby módz wykonać tę wyczerpującą służbę bezpieczeństwa bez przeciążenia żołnierzy i dać ludności uczucie bezwarunkowego bezpieczeństwa, okazało się koniecznem przedsięwzięcie teraz nieznacznego powiększenia sił wojskowych w okręgach granicznych Bośni i Hercogowiny.

Dymisya ks. Bülowa.

Wiedeń. Z Rzymu donoszą, że w Villa Malta, będącej własnością ks. Bülowa czynią się przygotowania na przybycie pary książęcej. Z tego wnoszą, że ks. Bülow poważnie myśli o dymisyi. Także z innej strony telegrafują z Berlina, że sprawa nie zakończy się inaczej, jak dymisyą ks. Bülowa.

„Reformy“ wojskowe ces. Wilhelma.

Berlin. Jakiemi sprawami zajmuje się obecnie cesarz Wilhelm, gdy sytuacya jest tak poważną, świadczy jego najnowszy rozkaz dzienny do floty w Kilonii, zarządzający, że okrzyk „hurra“, wznoszony przez marynarzy jednego okrętu, ma być wznoszony tak dokładnie równocześnie, jakby wychodził z jednego gardła.

ZE ŚWIATA.

Wesoła nagonka na zbrodniarzy. Dwa pierwszorzędne dzienniki, a mianowicie: „Politiken“ w Kopenhadze, tudzież „Dagens Nyheter“ w Stokholmie, zaprowadziły na łamach swoich *ilustracye, telegrafowane* zapomocą nowego systemu profesora Korna, a chcąc wykazać niezbicie ogromne zalety tego wynalazku, urządziły polowanie na zbrodniarzy. I tak w sobotę wieczorem wysłał „Politiken“ z Kopenhagi telegraficznie portret strasznego zbrodniarza do „Dagens Nyheter“, w Stokholmie, a na odwrót uczynił to samo „Dagens Nyheter“, posławszy dziennikowi „Politiken“ telegrafowany portret „swojego“ zbrodniarza. Owymi zbrodniarzami byli dwaj współpracownicy owych pism. — W niedzielę rano w obu wymienionych dziennikach pojawiły się portrety wzajemnych złoczyńców, a mianowicie w „Politiken“ portret szwedzkiego, zaś w „Dagens Nyheter“ portret duńskiego zbrodniarza. Pod portretem umieszczono dane co do barwy włosów i oczów, tudzież inne szczegóły rysopisu, a zarazem ogłoszenie, że 100 koron otrzyma ta osoba, która zbrodniarza przyprowadzi do redakcyi. W niedzielę, pomiędzy godz. 2 a 4 po południu, mieli zbrodniarze po wyznaczonych im ulicach spacerować. Jeżeli ktoś do nich przystąpił i powiedział: „Jesteś pan Szwedem“ w „Politiken“ — względnie: „Jesteś Duńczykiem“ w „Dagens Nyheter“, zbrodniarze na wypadek trafnego odkrycia mieli się udać ze swoimi Sherlock-Holmesami do redakcyi, gdzie Holmesom wypłacić miano nagrody. Jakoż między godz. 2 a 4 po południu owej niedzieli rojno było na pewnych ulicach Kopenhagi i Stokholmu. Liczne osoby, trzymając w ręce portret zbrodniarza, obserwowały bystro swoich bliźnich, a że niejeden szedł za pierwszym popędem i sądził, że ten lub ów przechodzień jest podobny do portretu, chwytał domniemanego złoczyńcę i ciągnął go do redakcyi. Rozgrywały się wesołe sceny i nikt nie czuł się obrażony, gdy go przez pomyłkę wzięto za zbrodniarza. Nagonka skończyła się wreszcie przyprowadzeniem do obu redakcyj właściwych złoczyńców. W Kopenhadze nagrodę otrzymał pewien słuchacz wydziału prawniczego, zaś w Stokholmie pewien pomocnik handlowy. Przy tej sposobności wyszło na jaw, że pomysłowy Szwed, chcąc mieć spokój, aż do oznaczonej dla nagonki godziny, udał się do Muzeum sztuki. Tam go nikt nie nagabywał.

Skonfiskowana Ewa. Policya peszteńska chce na gwałt umoralnić węgierskie społeczeństwo. W dziwny sposób. Konfiskuje naprzykład afisz reklamowy, ponieważ większą jego część wypełnia nieodziane niczem grzeszne ciało naszej prababki Ewy. Nieszczęśliwy ale zarazem i pomysłowy kupiec, reklamujący na zabronionym plakacie swój towar, nie daje jednak za wygraną i aby uniknąć kary za „niemoralność“, nalepia na biodra Ewy białe opaski z napisem: „Skonfiskowane przez dyrekcyę policyi“. Zakrawa na farsę ta pruderya organów bezpieczeństwa, gdyż Budapeszt pod względem t. zw. niemoralności zajmuje wciąż jeszcze chyba pierwsze miejsce na kontynencie. Wystarczy iść do pierwszej lepszej kawiarni, aby sobie wyrobić takie przekonanie. Cóż dopiero mówić o orfeach i tinglach, gdzie komicy i subretki prześcigają się w tłustych dowcipach i pieprznych kupletach. Obecnie zaszła w tych przybytkach wielka zmiana. Na mocy ukazu policyjnego muszą artyści przynajmniej połowę swoich „cochons“, dotychczas śpiewanych lub głoszonych po niemiecku, produkować w języku węgierskim. Zresztą wszystko po dawnemu. Pozatem tysiące innych, rzeczywiście siejących zgorszenie tradycyj, drwi sobie ze srogości dyrektora policyi, nic przeto dziwnego, że weseli Peszteńczycy przyjęli kpinami pastwienie się nad szafirową Ewą.

„Dawniej a dziś“. W Petersburgu wielką sensacyę budzi proces „bohemy literackiej“, która zabawiała się dla „wywołania nastroju“ — dręczeniem kotów. Na tych „dekadenckich seansach“ przywiązywano koty do nogi stołu i szczuto foxterrierami, oblewano koty naftą i podpalano etc. Proces wytoczono z inicyatywy Tow. opieki nad zwierzętami, a do odpowiedzialności powołano 8 literatów, pomiędzy nimi zaś redaktora gaz. „Mieża“ („Miedza“) Kotylewa. Z powodu tego procesu feljetonista gaz. „Wieser“ daje następujące zestawienie:

Dawniej:

Hohol. Kochany Puszkinie, dokąd idziesz?

Puszkin. Na wieczór do ks. Wołkońskiej. Chcesz, pojedziemy razem. Będzie wyborowe towarzystwo, a pomiędzy innymi Żukowski i Mickiewicz. Mickiewicz obiecał nawet odczytać fragment ze swego „Konrada Wallenroda“.

Teraz:

Pierwszy literat. Od wczoraj we łbie huczy. Ej, garson, podaj jeszcze wódki. Słyszałeś, Kuźmin chodzi z jakimiś nowymi chłopcami.

Drugi literat. Pal go licho! Pij i chodźmy do sądu. Dziś sprawa naszych gnębicieli kotów. Także dożyliśmy czasów! Nawet kota nie można oblać naftą i podpalić!...

Pierwszy literat. Sto pociech!...

Antyteza charakterystyczna pod wielu względami.

Bojkotujmy prusactwo przy wszelkich okazyach! Wystrzegajmy się kupowania wyrobów pruskich i wogóle niemieckich.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. Druk. W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarz. A. Nowaka.